



## ANONIM

4 kwietnia 1940 roku odbyła się w Firleju pierwsza zbiorowa egzekucja. O godzinie piątej rano przybył na piachy oddział żołnierzy z łopatami, kopali głębokie doły za górką. Około jedenastej część żołnierzy odeszła w stronę Radomia, około dwunastej rozstawiono posterunki w Firleju koło domów zamieszkałych i koło szosy. Dzieci, które opuszczały szkołę o pierwszej, musiały w niej pozostać. Czarne samochody kursowały tam i z powrotem. Pod górką, na której dziś bieje wielki krzyż, roily się ciemne sylwetki. Jedne z nich odchodziły w głąb piachów, a czarne samochody uzupełniały luki. Dopiero o zmierzchu piaski opustoszały. Pozostało pięć wielkich, żółtych mogił, moc krwistych grudek ziemi, kawałki drobnych kości itp. Stracono wtedy (według syna) 144 osoby różnej płci i wieku. I od tego czasu rzadko minął tydzień, żeby nie odbyły się dwie lub trzy podobne egzekucje.

Początkowo Niemcy sami wykopywali doły, zawsze w przeddzień egzekucji lub rano. Zwykle skazańcom towarzyszył oddział 20 – 30 żołnierzy z karabinami, wyprowadzano ich z samochodu grupkami po dwunastu – piętnastu, ręce mieli związane z tyłu. 200 – 300 metrów przed wykopanymi grobami skazańcom zakładano na oczy białe opaski. Szli w pewnej odległości, jeden za drugim, każdemu towarzyszyło dwóch Niemców. Ustawiano ich tuż nad wykopaną mogiłą. Następowala zbiorowa salwa z karabinów, a po niej słyhać było pojedyncze strzały rewolwerowe. Wedle ich liczby obliczaliśmy, ilu było straconych. W pewnej odległości były rozstawione warty, które nie pozwalały zbliżyć się nikomu. Z czasem system uległ zmianie. Skazańców wyprowadzano z samochodów, strzał w kark odbierał im życie i dopiero [wtedy] oprawcy przystępowali do kopania dołów. Starali się zatrzeć wszelkie ślady krwistych kałuż, po których można było[by] obliczyć liczbę skazańców.

Później jednak i ten system uległ zmianie. Czarny samochód zatrzymywał się na drodze do Firleja. Oprawcy kopali doły, po pięciu, sześciu skazańców żywcem wrzucano do dołów. Słyhać było kilka strzałów rewolwerowych naraz lub warkot karabinu automatycznego i znów pojedyncze strzały. Po takich egzekucjach śladów krwi nie było, żółciła się tylko udeptana mogiła i leżała kupa łusek z wystrzelonych naboii.

Lipiec 1940 roku. Doły wykopane poprzedniego dnia wieczorem. Ledwie niebo zaczęło szarzeć, zawarczały czarne samochody. Nie mogłam się zorientować, czy to gałęzie drzew

czy ludzie. Ale to byli oni, udali się sprawdzić najpierw, czy doły nie zostały zasypane. Po pewnym czasie wyprowadzono wiejską kobiecinę. Miała na sobie mocno różowy kaftanik, ciemną, krótką, marszczoną spódnicę i białą chusteczkę zawiązaną pod brodą. Prowadził ją pod rękę Niemiec. Za nią szła wysoka niewiasta w ciemnej długiej sukni, [miała] jasny płaszcz przewieszony przez rękę, z opaską na oczach – ją również prowadził żołnierz. Słychać było jakieś krzyki, ale nie skazanych. Żołnierz prowadzący kobiecinę zatrzymał się i pozwolił, aby drugi go wyprzedził. Chciał, żeby wysoka niewiasta pierwsza zginęła.

Potem szli już mężczyźni po 10 – 12, chyba trzy czy cztery partie. Gdy rano kobiety szły z mlekiem, zobaczyły tylko trzy nowe, wielkie mogiły i ślady kół samochodowych odcisnięte na piasku.

Jesień. Czwartek. Zimny wiatr ze śniegiem, ziemia zmarznięta. Godzina dwunasta trzydzieści. Czarny samochód minął szkołę i zatrzymał się w odległości 400 – 500 metrów. Wysiadła spora gromadka [Niemców], próbowali kopać, ale zmarznięta ziemia stawiała opór. Obok [było] spore zagłębienie, z którego jeszcze rano brali Żydzi piasek do Radomia. Skorzystali z niego Niemcy, lekko jeszcze je pogłębili i wyprowadzili skazańców; czterech czy pięciu szło bardzo wolno i ociężale. Nad otwartym dołem jakaś postać zatrzymała się i opierała. Popchnięcie nie odniosło skutku, dopiero mocne kopnięcie z tyłu zachwiało postacią skazańca, który osunął się w dół. Posypały się strzały z kilku (ośmiu – dziesięciu) rewolwerów. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Zmierzch szybko zapadał. Samochód odjechał, ale kilku żołnierzy zostało. Dłużej czekać z dziećmi, które mieszkaly na Krzewieniu, nie mogłam, udałam się z nimi nad rzeką, zostawiając Niemców mocno na lewo. Jeden z nich odłączył się od gromady, podszedł do nas bardzo blisko. Dzieci strwożone stuliły się, aby jak najmniej zajmować miejsca. Bez słowa minęliśmy niebezpieczne miejsce.

1941 rok. Mglisty ranek marcowy, godzina siódma trzydzieści. Od strony Krzewienia na górkę wstąpiła grupka dzieci, które spieszyły do szkoły. Z przeciwnej strony na tę samą górkę wszedł długi szereg skazańców eskortowanych przez hitlerowskich bohaterów. Na widok dzieci eskortujący wybiegli do nich z wystawionymi karabinami. Przerazone dzieci pędem zbiegły z górki i zebrały się aż pod moim parkanem. A długi dwuszereg skazańców wolno przemierzył swą ostatnią drogę. Już nie mieli opasek. Było sporo kobiet o małych i drobnych postaciach.

1943 rok. Wysiedlenie. [Niemcy] przyjeżdżali kilka razy we wrześniu i na początku października, badali dokładnie wzgórze, nasze mieszkanie, a na zakończenie zawsze udawali się na miejsca popełnianych przez siebie zbrodni. Wreszcie 10 października otrzymaliśmy oficjalne zawiadomienie, aby w ciągu trzech dni opuścić mieszkanie, zabrawszy z niego wszystkie rzeczy. Taki sam los spotkał naszych sąsiadów. Wincentów na razie zostawał w swoich siedzibach. Ale po trzech i pół dniach [jego mieszkańcy] musieli opuścić swoje zabudowania. Na piaskach [Niemcy] powkopywali tablice ostrzegawcze, rozstawili budki wartownicze, a ogromny reflektor oświetlał nocą teren w dużym promieniu.

Zwozili słupy, ogromne arkusze blachy, dużo cegły. Przez lornetkę można było zobaczyć sylwetki kopiających. W kilka dni [później] duży słup dymu wzbił się w niebo, a nocą gorzał wielką łuną. Widać było postacie noszące czy to snopy słomy, czy wiązki wikliny. W kilkanaście dni ognisko przeniesiono w drugie miejsce, gdzie płonęło sześć miesięcy.

Kiedy w kwietniu 1944 roku wróciliśmy do swych osiedli, zaczęliśmy doszukiwać się śladów. Jednak były dość starannie zatarte, tylko ubita przez koła samochodowe droga naprowadziła nas na ślad – popiół po spalonych ciałach wrzucali do rzeki. Nad brzegiem można było znaleźć zęby i kawałki niespalonych doszczętnie kości. Tam, gdzie znajdowało się krematorium, było bardzo starannie wygrabione, a w wielu miejscach znać było paleniska. W stodole znaleźliśmy jakąś kurtkę męską, czapkę, w komórce spódniczkę, w pokoju jakąś broszeczkę.

Po kilku tygodniach, kiedy silne wiatry wydmuchały piasek, w miejscu, gdzie stało krematorium, leżało sporo różnych guzików, sprzączek, koralików, nawet można było znaleźć zęby w metalowych koronkach. A kiedy słońce przygrzało, w kilku miejscach występowały duże plamy jakiegoś tłustego płynu, jakby ropy.

Zdawało mi się, że nareszcie nie będą tu tracić więcej ludzi, ale niestety. Okazało się, że w dniu, w którym wróciliśmy na swoje miejsca, odbyła się kolejna egzekucja. I znów, tak jak dawniej, wyrastały nowe mogiły – 20 z LHWD [?], to znów 44, według Niemców „bandytów”, to znów jakiś pojedynczy osobnik, który spadł w Radomiu z dachu trafiony kulą i wielu, wielu nieznanym bohaterów.

Jednak tym razem Niemcy unikali mogił zbiorowych, lokując pomordowanych w kilkunastu grobach. Pojedynczo zamordowanych często zakopywali tak płytko, że psy odgrzebywały ich z łatwością. Ostatnia egzekucja odbyła się w sobotę 13 stycznia 1945 roku.